Pasje lingwistów – Między absurdem a fałszem

30 kwietnia 2016

Odwieczną plagą lingwistyki są niedouczeni amatorzy i ich wyssane z palca lub celowo naciągane teorie. Czasem firmują je skądinąd wielkie nazwiska…

Lingwistyka porównawcza to fascynująca gałąź językoznawstwa, dzięki której ustala się wzajemne pokrewieństwa języków, zestawia rodziny i grupy językowe, odtwarza języki wymarłe, śledzi etymologie wyrazów i docieka ich prawdziwych znaczeń, a także bada ludzką psychikę od strony języka. Zanim jednak zacznę dzielić się tu pozytywną częścią tej wiedzy, chciałbym poruszyć kwestię bardzo wielu pomyłek, świadomych nadużyć, a także absurdów, jakie również w tej dziedzinie miały i mają miejsce za sprawą kwalifikowanych lingwistów, bo amatorom można zawsze więcej wybaczyć, a nawet założyć, że mylą się z reguły, jako że materia sama jest z definicji miękka i zwodnicza.

Przykładów komparatystycznych pomyłek i absurdów (comparatio = porównanie) jest w historii lingwistyki sporo. Niebezpieczeństwo amatorskich porównań językowych przy badaniach historycznych bardzo dobrze opisał Russel G. Schuh w pracy pt. „The Use and Misuse of Language in the Study of African History”, Ufahamu 25(1):36-81 (1997), gdzie chodziło przede wszystkim o porównania między językiem staroegipskim, a językami afrykańskimi, głównie kuszyckimi i berberyjskimi.

Najczęściej stosowaną metodą pseudonaukowych porównań językowych jest szukanie w dwóch językach słów, które wydają się podobne w brzmieniu i znaczeniu. Tak zresztą, intuicyjnie, stawiali swoje pierwsze kroki również i pionierzy prawdziwej komparatystyki zanim wypracowano rzetelne naukowe i statystyczne metody porównań. Podobieństwa tego rodzaju robią

często duże wrażenie na laikach, ale prawdziwi językoznawcy mają dla nich mniej entuzjazmu z dwóch podstawowych powodów. Po pierwsze dlatego, że stosowana metoda nie jest zwykle zdefiniowana na tyle, aby spełniała kluczowe dla nauki kryterium falsyfikowalności. Po drugie, ogromny zwykle materiał leksykalny w każdym z porównywalnych języków i stosunkowo niewielka liczba artykułowanych dźwięków używanych w większości z nich sprawia, że stosunkowo łatwo jest znaleźć przypadkowe podobieństwa słów dla dowolnej pary różnych języków.

Istnieją jednak także polityczne i religijne motywacje dla naciągania takich porównań w lingwistyce, a to już jest poważna sprawa. W pracy Niclasa Wahlgrena pt. Något om rastänkandet i Sverige, dostępnej w internecie (ale niestety tylko po szwedzku), gdzie opisuje się przykłady rasizmu wobec ludności lapońskiej (Saami) w północnej Skandynawii, jest omówiona fałszywa teza o tzw. turańskiej grupie językowej, czyli dopatrująca się pokrewieństwa rodziny ałtajskiej, do której należy np. mongolski, i rodziny uralskiej (ugro-fińskiej), do której należy język saami. Takie utożsamienie służyło dawniej do dyskryminacji rasowej Lapończyków w Skandynawii. Owszem, między językami uralskimi i ałtajskimi istnieją podobieństwa leksykalne i fonetyczne, wynikające przede wszystkim z długiego obcowania obu rodzin językowych na pierwotnie wspólnym terenie. W późniejszym okresie wykryto też więcej podobieństw lingwistycznych i dużo głębszej natury, co dało początek tzw. teorii nostratycznej w lingwistyce, ale nie ma to przełożenia na różnice rasowo-antropologiczne. Do grupy uralskiej należy również np. język Finów (przeważnie nordyckich blondynów i Aryjczyków). Poza tym teoria nostratyczna głosi, że obok rodziny ałtajskiej, uralskiej i paru innych również cała olbrzymia rodzina indoeuropejska (a więc wszystkie języki germańskie, słowiańskie, romańskie, celtyckie, irańskie, indyjskie itp.) pochodzą od jednego wspólnego mega-protojęzyka, który był jeszcze „o jedno oczko” starszy niż protoindoeuropejski lub proto-uralski czy proto-

ałtajski. Nazwano go językiem nostratycznym od łac. noster (nasz). Notabene, teoria turańska jest do dziś popularna, choć raczej w wymiarze geopolitycznym, wśród części Węgrów (język z grupy uralskiej), którzy czują sentyment do Turków i chętnie przywołują podobne lub wspólne słowa w obu językach (najczęściej po prostu zapożyczenia z tureckiego w okresie długiej historycznej styczności), co ostatnio skutkuje np. bardzo nieładnym stosunkiem Budapesztu do Ormian.

Innym rażącym przykładem fałszywej teorii lingwistycznej wyrosłej tym razem na gruncie doktryny religijnej jest tzw. anglo-izraelizm, czyli twierdzenie (i przekonanie), oparte na naiwnej interpretacji Biblii, że narody Zachodniej Europy, a w szczególności Anglicy, to potomkowie „dziesięciu zaginionych plemion Izraela", a dynastia panująca w Londynie, to potomkowie żydowskiego króla Dawida. Teoria ta jest nadal żywa, rozpowszechniła się w całym świecie anglosaskim i po roku 1870 zrodziła m.in. mnóstwo sekt, z których część istnieje do dziś. Echem tych wierzeń są np. Mormoni lub Christian Science (Mary Baker Eddy), a także spora część współczesnych fundamentalistów chrześcijańskich w USA. Wielkim zwolennikiem tej teorii był diaboliczny kat katolickiej Irlandii Oliver Cromwell (1599-1658) w czasach, gdy pogląd ten święcił na Wyspach Brytyjskich swe największe triumfy. Współcześnie najbardziej znanym głosicielem tej teorii był zmarły w 1986 roku amerykański teleewangelista Herbert W. Armstrong, który wszedł również na grunt lingwistyki porównawczej i zasłynął z karkołomnych etymologii, w których udowadniał pochodzenie języka angielskiego od… hebrajskiego! Twierdził np. że słowo British to hebrajskie „B'rith" („przymierze", por. arcyloża masońska B'nai B'rith – „Synowie Przymierza") + „isz" („mąż", „człowiek", por. np. Judasz Isz-Kariota, czyli Judasz „mąż z miasta" tj. Jerozolimczyk), a zatem Brit-Ish to jeszcze jeden wybrany „lud przymierza". Tego typu amatorskie „etymologie" robiły kiedyś (i do dziś robią) spore wrażenie na tych, którzy do takiego ludu chcieli lub chcą się przyłączyć.

Maria Gimbutas (1921-1994), a właściwie Marija Gimbutiene, nawiedzona, a przez to niewątpliwie oryginalna i ciekawa amerykańska archeolożka litewskiego pochodzenia (urodzona w Wilnie, a pochowana na Cmentarzu Pietraszuńskim w Kownie), przedstawicielka archeologii feministycznej i matka teorii kurhanów neolitycznych, też uprawiała pseudolingwistykę starając się po amatorsku dowieść tezy, że język Basków jest blisko spokrewniony z językiem Piktów i Etrusków, którzy razem od czasów neolitu tworzyli praludność Starej Europy z jej matriarchalną kulturą i kultem Wielkiej Bogini Matki, która dopiero w okresie wielkich migracji ludów stepu uległa patriarchalnej kulturze indoeuropejskiej. Jej amatorskie w gruncie rzeczy rojenia lingwistyczne na ten temat można znaleźć zwłaszcza w pracy pt. „The Living Goddessses", str. 122 i 171-175. Szkopuł w tym, że tezy o lingwistycznej wspólnocie Starej Europy nie da się udowodnić. Język Basków zachował tylko około 1/4 oryginalnego słownictwa własnego (reszta do zapożyczenia hiszpańskie, francuskie, celtyckie), a wymarłe języki Piktów i Etrusków nie nadają się w ogóle do kompetentnych porównań, ponieważ pozostawiły bardzo nikłe ślady. Po Piktach zastało tylko kilka nazw miejscowości w Szkocji, raczej o hipotetycznym znaczeniu, a po Etruskach niewiele więcej napisów nagrobnych, czyli głównie imion, a więc również za mało, aby poważnie mówić o materiale lingwistycznym do porównań. Każdy z tych języków, łącznie z baskijskim, stanowi do dziś zagadkę co do swego pochodzenia i powiązań. Nie przeszkadzało to Marii Gimbutiene, a może nawet pomagało, stawiać wielkie tezy, bo w teorii wszystko wtedy świetnie pasowało, a i tak nie można było sprawdzić.

W porównaniu z panią Gimbutiene, która lingwistką przecież nie była, dużo gorzej wypada Hilaire de Barenton (1864-1946), urodzony jako Etienne Boule, francuski ksiądz (kapucyn), który był lingwistą-turkologiem i historykiem języków wschodnich, wykładowcą, autorem kilku wartościowych prac i uczestnikiem III Międzynarodowego Kongresu Lingwistycznego w 1936 roku. Ten już wiedział, co robi, kiedy świadomie, aby wesprzeć rewolucję

młodoturecką Ataturka (a być może i osłabić wpływy islamu) wysmażył dzieło pt. L'Origine des langues, des religions et des peuples (Pochodzenie języków, religii i ludów), z którego wzięła swój początek tzw. teoria języka słońca (po turecku:Güneş Dil Teorisi). Barenton dowodził tam, że proto-turecki z Azji Środkowej jest matką wszystkich języków świata, łącznie z językami Sumerów, Majów i Egipcjan. Teorię tę podchwycił następnie i rozwinął austriacki lingwista dr Hermann F. Kvergić z Wiednia w pracy pt. „La psychologie des quelques elements des langues turques". Najbardziej jednak podobała się ona samemu Ataturkowi i jego Młodoturkom, którzy dali jej silne wsparcie materialne i polityczne. Posłużyła ona do raczej nieudanej reformy języka tureckiego, która bardzo zubożyła ten język, wypleniając w nim możliwie jak najwięcej słów pochodzenia arabskiego i perskiego i odcinając go w ten sposób od ważnej wielowiekowej tradycji. Izraelski lingwista Ghila'ad Zuckerman uważa, że Ataturk tak skwapliwie podchwycił teorię języka słońca, ponieważ umożliwiła mu ona wytłumaczenie dlaczego niektórych słów perskich lub arabskich wytępić z tureckiego nie mógł. W końcowym efekcie pozwoliło to na uratowanie i zachowanie wielu cennych słów bez wynajdywania ich sztucznych zamienników. O lingwistycznych aspektach masońskiej rewolucji młodotureckiej oraz o rojeniach wielkotureckiego nacjonalizmu warto by kiedyś obszerniej napisać, ale to ogromny (i bardzo ciekawy) temat, który musi długo poczekać. Tu warto jednak zauważyć, że teoria języka słońca doprowadziła do wielu etymologicznych absurdów. Np. angielski wyraz school wyprowadzano z tureckiego okul (szkoła), niemiecki wyraz Gott z tureckiego kut (błogosławić), francuski bulletin z tureckiego belleten (uczyć się na pamięć), a grecki elektron z ujgurskiego jaltrik (błyszczeć). Jest to, jak widać, podróż w krainę absurdu. Podobne bzdury roili tacy lingwiści jak Nikołaj J. Marr (1864-1934), twórca radzieckiej tzw. teorii jafetyckiej, w której języki rodziny kartwelskiej z Kaukazu ożenił on z semito-chamickimi i baskijskim, albo Devaneya Pavanar (1902-1981), pisarz drawidyjski z Indii, twórca tzw. teorii lemurycznej, w której

dowodził, że matką wszystkich języków na świecie (a zwłaszcza sanskrytu) jest jego ojczysty język tamilski.

Ciekawą postacią jest w tym kontekście Nowozelandczyk Edward Robert Tregear (1846-1931), z zawodu geodeta a potem urzędnik ministerialny, z pasji lingwista-amator i humanista o szerokich horyzontach, a przy tym bardzo płodny publicysta i myśliciel (socjalista). Był znawcą języka maori i innych dialektów polinezyjskich, który próbując rozgryźć zagadkę pochodzenia Polinezyjczyków stworzył teorię o aryjskim pochodzeniu języka maori. Zebrał obfity materiał leksykalny mający świadczyć o tym, że język maori należy do rodziny indoeuropejskiej. Ponieważ języki polinezyjskie mają bardzo ubogą fonetykę i głównie operują samogłoskami (co może wynikać np. z wielowiekowego przekrzykiwania się na odległość na morzu) mamy tu do czynienia z materiałem tak głęboko zredukowanym fonetycznie, że większość porównań dotyczy tylko sekwencji samogłosek w sylabach, co odbiera im wiarygodność. Dziś prędzej porównuje się języki polinezyjskie z japońskim lub koreańskim. W każdym razie, chociaż samą tezę „Aryan Maori” odrzucono, Tregear, mimo że amator, spotkał się z uznaniem lingwistów, bo jego prace były głębsze i prowadzone rzetelniej niż powierzchowne muskanie tematyki przez większość doktrynerów.

Im głębiej sięgniemy w przeszłość, tym więcej takich powierzchownych dociekań można w niej odkryć. Uczony Holender Hugo Grotius (1583-1645), teolog i prawnik uważany za „ojca prawa międzynarodowego”, zajmował się wieloma dziedzinami, ale też trochę niebacznie wszedł na teren lingwistyki porównawczej. W słabej lingwistycznie pracy pt. „Dissertatio de origine gentium Americanarum” („Rozprawa o pochodzeniu ludów Ameryki”) z roku 1625 Grotius twierdzi, że Indianie (a konkretnie Mohawkowie) mówili językiem (lingua Maquaasiorum), który jakoby pochodził bezpośrednio od języków… wikingów. Argumentów przytacza mało i kiepskie, ale tajemnicę tej teorii łatwo jest zrozumieć, kiedy się zauważy, że Grotius był w

dorosłym życiu pupilkiem na pensji szwedzkiego króla Gustawa II Adolfa i słynnego hrabiego Oxenstierny, zaś jego twierdzenia miały poprzeć szwedzkie roszczenia kolonialne do Ameryki. Grotius, który pochodził z Delft, zmarł zresztą w należącym wtedy do Szwecji Rostocku i tam jest pochowany.

Inny uczony Holender – Johannes Goropius Becanus (1519-1572), lekarz miejski z Antwerpii, lingwista, filozof i historyk, skupił się raczej na obronie własnego języka, chociaż nauczył się przedtem kilku innych. W swej pracy pt. „Origines Antverpiana" (1580) zapytuje z rozbrajającą szczerością: „Quis est enim qui non amet patrium sermonem?" („A któż swej mowy ojczystej nie kocha?"). I sam dał dowód takiej miłości twierdzeniem, że język brabancki (czyli wersja flamandzkiego spomiędzy rzek Scheldy i Mozy, którą mówił) dał początek… hebrajskiemu (!).W poszukiwaniu najstarszego języka wychodził bowiem z założenia, że musiał to być język najprostszy, a język, jak wierzył, jest tym prostszy im więcej jest w nim słów krótkich, jednosylabowych. Porównując z brabanckim łacinę, grekę i hebraję zauważył, że krótkich słów najwięcej jest w tym pierwszym. Przeprowadził też porównania i spekulacje etymologiczne, które przywiodły go do wniosku, że wszystkie te języki, a zatem i wszystkie pozostałe, pochodzą od holenderskiego. Np. łacińskie quercus (dąb) to jego zdaniem brabanckie „werd-cou" („strzeże od zimna"), hebrajskie imię Noe (Noah) to brabanckie „nood" („potrzeba"), a imiona Adam i Ewa to brabanckie „Hath-Dam" („tama nienawiści") i „Eu-Vat" („beczka, z której wyszła ludzkość"). Skala wymyślanych przez niego absurdów była tak wielka, że Leibnitz ukuł potem termin „goropizm" na określenie bzdury etymologicznej. Sam Goropius (po holendersku: Jan Gerartsen van Gorp) uważał, że brabanckim mówiono już w raju, m.in. dlatego że Ogrody Edenu znajdowały się, jego zdaniem, właśnie w Brabancji. Na długo przed Champollionem przeniknął też tajemnicę egipskich hieroglifów i doszedł do wniosku, że są one zapisem języka brabanckiego. Narodowcy wszystkich krajów mogliby brać z niego przykład: to się dopiero nazywa żarliwy patriotyzm!

W wymyślaniu pseudolingwistycznych bzdur zasłużyli się także liczni Francuzi. Filolog Eloi Johanneau (1770-1851) twierdził w pracy pt. „Melanges d'origines etymologiques et de questions grammaticales" (1818), że wszystkie języki muszą pochodzić od celtyckich, a już francuski zwłaszcza. Z kolei niejaki Joseph de Guignes w 1759 spekulował na podstawie swych raczej amatorskich ustaleń lingwistycznych, że język chiński wywodzi się od języka starożytnych Egipcjan i że Chiny były w ogóle kolonią założoną przez Egipcjan. Jean Prat (1868-1952), francuski misjonarz z zakonu Ducha św., który pracował w Afryce i nieźle znał kilka tamtejszych języków (sango, kinjaruanda, kisuahili), dowodził, że języki bantu pochodzą z… łaciny i nawet ukuł dla nich termin: „języki nitalne". Zupełnie poważnie twierdził np. że wyraz mama z języka kisuahili pochodzi od łacińskiego mater, a wyraz „nya" z języka Fang, gdzie także oznacza „matkę" pochodzi od łacińskiego genitrix (rodzicielka). W absurdach wszystkich przebił jednak Jean-Pierre Brisset (1837-1919), francuski pisarzyna i fanatyk pływania, który pracował jako zawiadowca stacji kolejowej w Angers, a potem w l'Aigle. Był to jednak zdolny samouk i fantasta, który twierdził, na podstawie swych dociekań lingwistycznych (La Grande Nouvelle, 1900), że ludzie pochodzą od… żab, o czym świadczy podobieństwo dźwięków mowy ludzkiej i rechotu oraz kumkania tych płazów. O tym pochodzeniu – dowodził – miało świadczyć np. francuskie słowo „logement" („mieszkanie"), z którego wynikać by miało, że pierwotną siedzibą ludzkości była woda (franc. „l'eau").

Tiaaa… No, to może ja już w tym miejscu zakończę, aby wstydu lingwistyce dalej zaoszczędzić. Za bardzo tę dziedzinę lubię i cenię, aby podkreślać, że aż tak wiele jest w niej tak samo lipne i naciągane jak w innych naukach i sztukach.

Autorstwo: Bogusław Jeznach
Źródło: NEon24.pl